

JAK SIĘ ŚMIEJEMY?

I na zielonogórską scenę trafił komediowy samograj, który znajduje się w repertuarze wielu polskich teatrów. Zwie się on bardzo atrakcyjnie „Jak się kochają w niższych sferach”. Publikę opisuje, a teatry bezkrytycznie mają okazję do odfajkowania współczesnej farsy i współczesnego tematu.

Zastanawiam się, dlaczego akurat tak jest i obawiam się: że tak musi być. Ale po kolei. Komedia to gatunek, który byle sprawnie zrobiony, ma największe szanse stać się opłacalnym. Nie są potrzebne zbyt duże umiejętności warsztatowe autora. Lecz chęć zrobienia czegoś podobnego i bodaj zamilowanie do farsy. A na czym opieram podobną insynuację? Otóż, daję sobie uciąć głowę, że każdy pisarz (ew. dramaturg) ciut powyżej przeciętnej, jest w stanie napisać coś podobnego do „Jak się kochają...”. Ba, zajrzeć trochę głębiej w konflikty, które zaserwowano na scenie. Spyta ktoś: to dlaczego nie robią tego porządni i bardzo dobrzy pisarze? Wysiłek żaden, a można zarobić. Odpowiadam: dobrzy pisarze mają jedno życie i brak im czasu na bzdurzenie.

Wracając do tematu: pomysł sztuki angielskiego komediopisarza jest prosty, by nie rzec kabaretowy, ot — z odrobina wyrafinowania. Jest to z telewizji skradziony sposób narracji. Po dziennikarsku ten sposób nazywa się: raz tu, raz tam. A wygląda to tak: dwie młode rodziny z niższych sfer nie

mając żadnych kłopotów, obmyślają sposoby zdradzania siebie. Oczywiście chodzi o jakże popularne hasło pod kryptonimem: łóżko. Przypominam, że w Anglii kobiety nie pracują, a co najwyżej zajmują się hobby charytatywno-towarzystwem. Co dalej? Nie pamiętam. Ale jest kupa śmiechu. Co prawda śmiech ten nie jest typowo angielski, ale prowienencji kontynentalnej, tj. gruboskórny. Śmiejemy się, że mąż nabija się z żony, a ona durna kuchta (zamienne na: kocmóluch) nic nie rozumie. A potem śmiejemy się, że żona nabija się z męża, itd.

Ja też się śmiałem. Poza śmiechem niczego tu nie ma. A jest publiczność na spektaklach. To ostatnie zaliczyć trzeba do plusów, bo chyba o to chodzi, by ludzie odwiedzali teatr. Ale zastanawiam się, dlaczego tak pusta sztuka trafiła na sceny polskie, a nawet do Zielonej Góry. O ile wiem, to trzeba autorowi płacić w „zielonych” za każde przedstawienie, chociaż tłumaczowi — co prawda — w złotych. Może się mylę. Ale gdy sprowadza się sztukę zagraniczną, to — moje pytanie — czy nie można byłoby postarać się o coś lepszego od prymitywnej komercji, bo w wypadku „Jak się...” inaczej nie można tego nazwać. A nawet, gdy chodzi o tę wybrzydzałą przez teatry współczesną dramaturgię, to wcale nie jest z nią, aż tak źle. W tamtym roku wydrukowanych przez „Dialog” nali-

czyłem co najmniej dziesięć polskich sztuk o niebo lepszych od tej angielskiej ramotki. Zgadzam się, takie rzeczy powinny być w repertuarze, ale takie rzeczy nie powinny być reprezentatywne.

W związku z powyższym może dotknę zbyt drażliwego tematu, a mianowicie doboru repertuaru. Zawsze mi się wydawało, że za ów stan rzeczy odpowiedzialny jest kierownik literacki (po mijam tzw. teatr autorski, gdzie silną osobowość dyrektora artystycznego jest decydująca). Kierownik literacki zawsze mi się kojarzył z literackim kierownikiem; i nigdy inaczej. Otóż wydawało mi się, że literaturę, teatr i wszystkie pogranicza tegoż, znam dość dobrze... A nie wiem, kto to jest Andrzej Morozowski. Może teraz w jakiejś szkole produkuje się kierowników literackich. Nie chodzi mi konkretnie o to, czy inne nazwisko, ale o zjawisko.

O samej sztuce już napisałem. Reżyseria. Dynamicznie i ze znanstwem rzemiosła zrealizowała rzecz Wanda Laskowska. Ale tylko tyle można byłoby napisać, albo inaczej: aż tyle. Gdyż czuje się rękę sprawnego realizatora, a że wąta jest struktura intelektualna, to wina materiału dramaturgicznego. Aktorzy świetnie wykorzystani, jak zwykle interesujący Hilary Kurpanik. Pojawiła się nowa aktorka, Ewa Rączy. W roli Teresy jej podlotkowość (od: podłotek) dałoby się określić poetycko, jako zwiewność. W ogóle w teatrze lubuskim z aktorstwem jest poprawnie, ba, całkiem dobrze. I Henryka Bielawska powoli wyrasta na aktorkę o charakterystycznym amplit, tj. kobiecy fatalnej. Pozostali też wcale nie odstawali: i Andrzej Byś, Mariusz Szarforz i Halina Fiećko. Szczególnie tych

dwoje ostatnich w nieefektywnych rolach, a przez to właśnie trudnych.

Sprawy techniczne. Tym razem program do przedstawienia jest nieudany. Raz, że w intencjach nieczytelny, a dwa, rozkładająca się płachta papieru jest niewygodna w użyciu. Poprzednia forma jest już sprawdzona i warto byłoby do niej powrócić i na niej poprzestać. A przy okazji — podziękować realizatorowi muzycznemu za to, że w przerwie przedstawienia po piętnas-

tu latach mogłem wysłuchać standardu rockowego „Paranoid” grupy Black Sabbath. Wzruszyłem się na tę grzmiającą początki.

WALDEMAR MYSTKOWSKI

Alan Ayckbourn — Jak się kochają w niższych sferach (How the other half loves). Tłum. Kazimierz Piotrowski. Teatr Lubuski im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Premiera: 11 października 1984 na Scenie Głównej. Reżyseria: Wanda Laskowska. Scenografia: Marek Tomasik.



Scena zbiorowa

Fot. TADEUSZ AMBROŹ